

Antroposfera podróży: teraz i potem

Na pytanie: „jak spędziłeś wakacje?“, padają rozmaite odpowiedzi. A własnym jachtem przemierzył samotnie Atlantyk. B nurkował na Karaibach z ekipą krakowskiego klubu oceanonograficznego. C przebył szlak poszukiwaczy złota na Alasce (częściowo piechotą, częściowo konno). D poświęcił urlop na etnograficzny rekonesans w Amazonii. E obejrzał fiordy norweskie, poruszając się po Skandynawii własnym samochodem (z rodziną). F zdobył Grossglockner na 6-osobowej wyprawie, swej pierwszej alpejskiej. G przejechał szlak europejskich miast uniwersyteckich – od Krakowa i czeskiej Pragi do hiszpańskiej Salamanki i Coimbrzy w Portugalii. H wybrał się w trzy motocykle na wyprawę po Rosji i Kazachstanie. I zwiedziła Peru w ramach półprywatnej wycieczki samolotowo-autobusowej. J wraz z przyjaciółką gościła na muzycznych festiwalach w Bayreuth i w Krynicy. K z trzema synami przejechali rowerami trasę wokół zamków nad Loarą. L doleciał samolotem do Dubrownika, poczym wygrzewał się w adriatyckim słońcu w zatoce Slano. M podróżowała po południu Francji, przywożąc wiele wrażeń ze zwiedzania prowansalskich zabytków oraz z tamtejszych restauracji i dyskotek. N była w Mielnie, gdzie trafiła szczęśliwie na bezdeszczową pogodę. O jeździł autobusem MPK na działkę pod miasto i dwa razy pociągami na grzyby (po deszczu). P był w Rytrze na wczasach, zaliczając codziennego brydża, spacerów na Małą Roztokę i jedno męczące wyjście na Przehybę, za to w miłym towarzystwie. Q wykupiła wycieczkę autokarem do Wilna i Rygi, w tym noclegi i posiłki w trzygwiazdkowych hotelach. R był z żoną w Tunezji (*last minute*), a leżak przy hotelowym kąpielisku zwalniał go z kłopotu kilometrowych przejść nad morze i z fatygujących, dodatkowo płatnych wycieczek. S przejechał przez 12 miast niemieckich, wizytując 15 muzeów (2 sekundy na obraz) i festiwal piwa w busowej podróży z krzykliwym przewodnikiem.

Są różne sposoby spędzania wolnego czasu, tak jak rozmaite są ludzkie upodobania i szczęście w wyborze odpowiednich ofert, niesionych przez los, reklamę, namowy przyjaciół i zwykłe przypadki. Zmieniają się w ciągu życia upodobania i możliwości finansowe. Ktoś, kto w dzieciństwie zwiedzał okolice Lublina, w czasie studiów próbował wspinaczki tatrzańskiej, potem jeździł latami albo do Barcic, albo na Zachód poznawać nocne i dzienne uroki Paryża, jeszcze później znów dokonuje zwrotu w upodobaniach, ze śródmieścia uniwersyteckiego Krakowa przenosząc się do własnego, weekendowego apartamentu w Szczawnicy¹. Jedni i drudzy, i następni, i wszyscy

¹ Tak przebiegało właśnie życie profesor Beaty Szymańskiej-Aleksandrowicz. Z wędrowek tych czerpała siłę, energię do pracy, nieustającą pogodę ducha, dobroć i przyjaźń wobec ludzi, a na pewno też inspiracje do swej pięknej poezji i mądrych książek filozoficznych.

gdzieś wyruszają, na dłużej lub krócej, gdzieś są i coś robią, to mianowicie, co się niepokojąco niejasno nazywa spędzaniem czasu. Potem wracają tam, skąd wyruszyli, po to właściwie, by po pewnym okresie znów wybrać się w drogę. Czas „zajęty”, przeznaczony na pracę i inne, esencjalnie poważne, codzienne zajęcia, staje się coraz mniej istotny, a na pewno bardziej jakościowo i emocjonalnie pusty niż tamte krótkie w sensie bezwzględnym, ale intensywne, „wolnoczasowe”, swobodne i niezwykle przerwy wędrownicze. Tylko kataklizm naturalny lub ewentualna, gwałtowna zmiana obyczaju i etosu mogłyby ten porządek zakłócić lub zastąpić jakimś zgoła innym łańcem życia.

Pewne jest, że wszyscy wymienieni odbyli lub właśnie odbywają podróże, bliższe lub dalsze, choć zawsze w pewnej odległości od miejsca stałego pobytu. Wszyscy są więc na swój sposób nowoczesnymi, a niektórzy wręcz ponowoczesnymi turystami, czynnymi uczestnikami ogólnoświatowej kultury ruchu. Nie chodzi wcale o przymus konieczności egzystencjalnych, o migracyjne wyprawy za chlebem, o poszukiwanie pastwisk lub łupieżcze wojny za górami, za lasami. Tamte doświadczenia akurat albo należą do przeszłych dziejów, albo mieszczą się w zupełnie innych kategoriach zjawisk społecznych.

W dzisiejszej cywilizacji swobodnych ruchów „tam i z powrotem” zostają wyznaczone kontury nowego, zupełnie odmiennego jakościowo świata ludzkich przemieszczeń przestrzennych. Z jednej strony, mamy do czynienia właśnie z potężną strukturą globalnej turystyki, na ogół nieźle zorganizowanej i przynoszącej animatorom krocio-we dochody. Dochodzi do tego wielomilionowy plankton pojedynczych, nieskoordynowanych, niekontrolowalnych i trudnych do klasyfikacji odruchów ruchliwości prywatnej. Z drugiej strony, należy pamiętać o szerokim froncie uzupełnień tworzących fenomen podróźnictwa jako takiego. Występuje on poza czasem wolnym i poza przypadkowością doznań, angażując ludzi, którzy posiadają odpowiednie środki i ogromne, pozaurlopowe nadwyżki czasowe, aby dać upust swym autonomicznym dążeniom zdobywczym, zdecydowanie wyżej stawianym od egzystencji osiadłej. Ci arystokraci wędrowania tylko w wyniku niekorzystnego splotu okoliczności przycupują niekiedy na dłużej w jednym miejscu. Nastawieni przede wszystkim na ruch ciągły, najczęściej wyraźnie wyspecjalizowany i zlokalizowany, pogardzają płaskim bytowaniem różnych „ceprów”, „szczurów lądowych”, „mieszczuchów”, „piecuchów” i innych nieruchliwych miłośników pieleszy, kurczowo trzymających się swych wsi, miast i domostw, z zabitych deskami okolic.

Nie wolno zapomnieć również o istnieniu wciąż nasilającego się, wysoce zracjonalizowanego i interesownego procesu mobilności milionów, zaangażowanych w prywatne i grupowe przedsięwzięcia gospodarcze i polityczne. Nie jest to na pewno turystyzm esencjalnie czysty, ale przecież stanowi on równie dynamiczną formę życia, wymagającą ciągłego poruszania się z pracy do pracy, ze spotkania na spotkanie, z przywozu i wywozu towarów i usług. Wokół tych najprostszych przejawów koniecznej aktywności przestrzennej tworzą się zarówno okazjonalne, jak i coraz bardziej uporządkowane i powtarzalne scenariusze zachowań turystycznie określonych, wcale przedtem nieplanowanych. Obejmują one przeróżne rodzaje życia, odnosząc się do nieprzeliczonych rzesz owych skromnych realizatorów małych migracji ekonomicznych, czy szerzej: profesjonalnych. Jadąc do odległej fabryki lub do

biura, przewożąc tirem towar przez granice, odbywając artystyczne *tournee* lub goszcząc na międzynarodowej konferencji z referatem, bezwiednie, niejako przy okazji, urzeczywistniamy całkiem bogate programy turystyczne, być może równie dla nas ważne, co główne powody przemieszczeń.

Krzyżują się nasze drogi. Niemal każdy podróżnik i podróżny (w tym „turysta czysty”, na przykład współautor zwycięskiego wyjścia na K-2) spotyka na swych szlakach osobników o podobnych preferencjach i zachowaniach. Wszyscy oni, tak samo jak ja, też gdzieś lecą, jadą lub idą, choć czynią to zapewne w odmiennych intencjach i inną realizują strategię działań. Każdy z nich – jak najbardziej słusznie – określany jest podobnym mianem „wędrowca”, „turysty”, „obieżyświata”, „człowieka ruchu” w ogólności.

Dość jasna wydaje się myśl, że nawet pobieżna analiza listy możliwości współczesnego podróżowania, pozwala na uzyskanie obrazu znacznie bardziej skomplikowanego, na pewno zaś wielobarwnego, zwłaszcza gdy chodzi o poziom różnych form oraz wszechstronnego – cielesnego i intelektualnego – przygotowania podmiotów owego realnego turystyki. Piramida szans, ofert i rzeczywistych spełnień jest ogromna – od heroicznych, samotniczych, trudnych i skrajnie niebezpiecznych wypraw w głąb i wżwyz bytu, aż po komercyjne, wygodnickie przejazdy w standardowo płaskie, trywialne miejsca zorganizowanego lenistwa. Potęgowaniu emocji i skrajnemu natężeniu sił uczestników turystyki wyższych poziomów towarzyszy ilościowy wzrost biernego udziału w masowych, owczych spędach, replikujących stylistykę codziennego podróżowania miejskimi środkami komunikacji, z dość podobnym w istocie, ubogim repertuarem atrakcji.

Rzadziej odnosimy się natomiast do kwestii wypraw najbardziej ekstremalnych, które skądinąd zasługują na specjalne potraktowanie. Dotyczy to zaskakującej niezwykle pomysłami terażniejszości, ale jeszcze bardziej z fantazją wyznaczanym wyczynom przysłym. Oto T mógłby wziąć udział w pierwszym wejściu do gorącej jaskini wulkanicznej. U przelecieć na lotniarskim skrzydle trasę z Mont Blanc do Londynu. W na deskorolce przebyć cały szlak kolei transamerykańskiej. X pokonać wplaw Morze Aralskie, Y bez asekuracji dotrzeć na Księżyc w pionierskiej akcji dla amatorów. Z mógłby zaś nareszcie rozpocząć swą astronautyczną, najpewniej do śmierci trwającą podróż do gwiazd (z nieśmiałą jednak nadzieją, że również z drogą powrotną). I tak dalej, i tak dalej, według rzeczywistych potrzeb i na razie tylko wyimaginowanych programów podróży.

Jeszcze inni, zajmujący wszystkie litery wszystkich alfabetów świata, poddają się doświadczeniu najbardziej radykalnemu, przenosząc się w finale wędrówki w osobną sferę innobytu-niebytu. Na końcu danej drogi – niewykluczone, że podróżniczej właśnie – zamykają mianowicie aktem własnej, osobniczej śmierci proces życiowych poszukiwań. Natura jest wtedy ponaglana, a los, który zdawał się jednostajny i monotony, biegnie zrywami, z przyspieszeniem nadanym mu przez człowieka. Częściej i szybciej udaje się to osobnikom preferującym przedsięwzięcia ryzykowne i niebezpieczne z istoty, choć przecież i tutaj zdarzają się niezrozumiałe wyjątki. Kiedy w podmuchach wichury odpada od oblodzonej ściany szczytu himalajskiego nieubezpieczony śmiałek, przyjmujemy, że nie jest to żadna anomalia, lecz że staje się coś, co było bardzo prawdopodobne teoretycznie i co łatwo było w praktyce przewidzieć. Tak

samo pojmujemy sens wysokiej niepewności szalonych zjazdów rowerowych po pionowych graniach, wspinaczki po wieżowcach czy też bezsprzętowego nurkowania głębinowego. Wiemy również z całą jasnością, czym na ogół kończy się brawura niedzielnych jaguarów szos, szalejących po zatłoczonych i wadliwie sprofilowanych drogach lokalnych.

Według pewnych, żelaznych praw przyrody, jeśli coś się zdarzyło, to znaczy, że stać się musiało. Fakty dokonane są nieuchronne, bo ani teraz, ani nigdy niepodobna ich odwołać. Ale dlaczego ktoś stracił zdrowie lub życie, jadąc autostradą zwykłym, pielgrzymkowym autokarem? Dlaczego ten wczasowicz utopił się na strzeżonym basenie uzdrowskim? Dlaczego tamten letnik akurat podczas urlopu zatrzał się grzybami? Niekonieczność wydaje się tu uderzająca. A jednak ludzie wciąż opuszczają tereny dla nich najbezpieczniejsze, znane i pewne, zmierzając gdzieś i po coś, co jest podnieceniem, odmianą, zachłyśnięciem się nowością i niezwykłością, ale też tłumionym egzystencjalnym niepokojem, mierzeniem się z zagadką nieznanego i z niepewnością dalszego ciągu. Jest także odsuwaniem na bok podejrzenia, że wiele wartości – jeśli są tak cenne, jak przyjmujemy – musi mieć swą wysoką cenę, którą czasem trzeba zapłacić, bez targu.

Wyższe-niższe

Pomiędzy różnymi rodzajami wędrownictwa zachodzą znane i wielokrotnie opisane różnice właściwości. Pozwala to na prowadzenie przeróżnych typologii i klasyfikacji gatunków akcji turystycznych, świadczących o znajomości bogactwa potrzeb, motywacji i sposobów realizacji ludzkich pasji przez rzeczywistych i abstrakcyjnie wzorcowych podróżników. Ma to też aspekt praktyczny. W okresie utowarowienia turystyki – łatwiejsze staje się wtedy występowanie z adekwatnymi i rozsądnie skrojonymi ofertami dla rozmaitych rodzajów poszukiwaczy atrakcji. Jeśli chcemy utrzymać i poszerzać zakres uczestnictwa w podróżniczym przemyśle, konieczne jest solidne rozpoznanie potrzeb, ambicji i umiejętności ludzkich w możliwie najszerszej skali, tak aby zgodnie z nimi konstruować programy i racjonalnie wydawać środki przygotowawcze.

Trzeba zatem coś wiedzieć o człowieku, nim się przystąpi na serio do organizowania mu życia. Dotyczy to zwłaszcza tych fragmentów, do których każdy przywiązuje specjalną uwagę, mianowicie do stosunkowo krótkich, lecz intensywnie przeżytych okresów wakacyjnego wypoczynku od pracy zarobkowej lub od obowiązków edukacyjnych. Wiedza o człowieku pozwala z wyprzedzeniem wycenić sensowność ofert scenerii i scenariuszy kreowanego relaksu. Jakież bowiem sens miałoby wznoszenie w górach luksusowych stacji narciarskich, jeśliby najpierw nie odkryto, że wśród zamężnych członków społeczeństwa da się inkorporować modę na szusowanie, tę zaś oprzeć na głębszej potrzebie przeżycia romantycznego melanzu hedonizmu z perfekcjonizmem? Po cóż mielibyśmy budować sieć hotelowo-gastronomiczną w miejscowościach, pełnych niezłe zachowanych zabytków starożytnych i średniowiecznych, jeśli wcześniej nie uznalibyśmy za realny pomysł, iż da się obudzić historyczną cie-

kawość poznawczą, opartą na naocznych, bezpośrednich doświadczeniach, nadto nadbudować na niej kanon dobrego, cywilizacyjnie poprawnego wychowania na całym europejskim kontynencie i w Ameryce Północnej (a nawet w zwróconej ku Zachodowi, bogatszej części Azji)? Kto zakładałby fabryki sprzętu turystycznego różnych odmian dla masowego odbiorcy albo komu wpadłby do głowy pomysł organizowania agencji usług wycieczkowych, jeśli uprzednio nie pojawiłyby się – przynajmniej w wersji skromniejszej – potencjalny klient poszukujący zaspokojenia silnych impulsów doznaniowych oraz pragnień innowacyjnych?

Pojawia się, oczywiście, pytanie o to, co jest pierwotne, co zaś pochodne w obrębie samej idei wędrowania oraz w całym jej systemie realizacyjnym, ogarniającym współczesny świat. Czy to reklama wytwarza potrzebę, wcześniej nieistniejącą, a doprawdy trudną do urodzenia „z niczego” w osobowościach poszczególnych osobników? Czy też, przeciwnie, początkiem wszystkiego jest coś, co tkwi głęboko w człowieku, jakieś wędrownicze *a priori*, które odkryte, uwolnione i uruchomione przetwarza się najpierw w uświadomioną potrzebę ściśle indywidualną (tego oto osobnika), potem w potrzebę interpersonalną (w ramach kręgu rodzinnego i towarzyskiego), potem w społeczną, tak aby ostatecznie przeobrazić się w kanon kulturowy, na którego glebie dojrzewa i rośnie przedsiębiorca, organizator i polityk.

Dochodzimy niepostrzeżenie do kwestii naczelną, dotyczącej nie zbioru potrzeb li tylko, *nota bene* niezłe rozpoznanych przez psychologów, lecz podstawy podstaw wszelkiej dynamiki gatunkowej. Z jednej strony powraca podejrzenie, że podróżnicza ruchliwość jest atawizmem, pozostałością po epoce poszukiwania optymalnego miejsca na Ziemi. Wędrowanie dzisiejsze miałoby więc stanowić jakąś irracjonalną namiastkę pradawnego sensu związanego z poszukiwaniem Ziemi Obiecanej, optymalizacją pozycji z natury chwiejnej, jej udomowieniem, zakorzeniem. Jest bardziej rytuałem ruchu dla samego ruchu niż zachowaniem wyposażonym we własne znaczenie. Jest powtórką z gatunkowej i plemienną historii, wykonywaną przy pomocy gestów i kroków, które oznaczają raczej symboliczne nawiązanie do *sacrum* pielgrzymki niż potrzebę samego, realnego dotarcia do świętych miejsc.

Z innej strony patrząc, nie możemy wykluczyć, że ruch podróżniczy jest jednak jakąś zapowiedzią niesprawdzonej jeszcze przyszłości, a więc czegoś, czego dotąd wcale człowiek nie doświadczył. Dawny i pradawny nasz przodek, wprzęgnięty w kierat konieczności, pozostawił realne przeżycia więzi ze światem, lecz nie ludzkości w ogóle, ale poszczególnym, wąskim kręgiem wysłanników, czyniącym sobie nie całą ziemię poddaną hurtem i natychmiast, lecz tylko poszczególne zagony i ogródki, po kolei. Nigdy dotąd nie nastąpiła żadna z góry zakładana i wyczekiwana uniwersalizacja obecności, nigdy bowiem człowiek nie wydobył się z zamkniętych kręgów lokalności. Nie dokonało się też wymarzone przejście na poziom gatunkowej wspólnoty – ani na drodze uniformizacji siłowej, ani federacji dobrych woli. Światowy ruch turystyczny zdaje się stanowić dopiero forpoczta tej właśnie perspektywy, właśnie poprzez liczne, różnorodne i sprawnie przeprowadzone akcje sprawdzenia możliwie wszystkich miejsc, którymi dotąd zawałdął człowiek.



Turysta ziemski

Stary spór filozoficzny toczy się wciąż i bezustannie o relację między podmiotem a przedmiotem poznania. Chodzi w nim o to, czy poznając świat, wnosimy swą podmiotową strukturę i dyspozycje kategorialne do obrazu przedmiotu, czy też jest on od nas niezależny? Czy potrafimy dotrzeć do jego własności, czy też cechy te – rzekomo przedmiotowe – implantujemy w strukturę obiektywnej rzeczywistości, fałszując ją jednak na obraz i podobieństwo nasze, subiektywne? Odpowiedzi bywają rozmaite, grupując się wszakże wokół dwóch wzorców klasycznych: realizmu epistemologicznego, głoszącego pogląd, że podmiot zawsze dociera do przedmiotowości takiej, jaka jest, oraz idealizmu epistemologicznego, uznającego myśl, iż poznając cokolwiek, docieramy w istocie tylko do siebie samych, do swojego wnętrza, wypełnionego bądź danymi przeżyciowymi (jak chce immanentyzm), bądź do swych dyspozycji, tworzących nigdy nie skonkretyzowany w pełni schemat obrazu świata (jak głosi transcendentalizm).

W obrębie realizmu – i tylko w nim – może się pojawić niezwykle interesujący, a mało wyeksploatowany w dyskusjach argument, który nazwać można hipotezą ewolucjonistyczną. Jej sens zawiera się w przeświadczeniu, że aparatura poznawcza człowieka jest adekwatna do danej rzeczywistości, ukształtowała się bowiem w toku dziejów jako efekt prawa adaptacji do świata, w którym faktycznie żyje człowiek. Mówiąc najprościej: poznajemy świat dokładnie

takim, jaki naprawdę jest, z tym wszelako zastrzeżeniem, iż odnosi się to wyłącznie do obszaru Ziemi, czyli do warunków, w jakich przyszło od dawna bytować człowiekowi. Oznacza to tym samym, że w nieco innych albo i w całkiem odmiennych okolicznościach, czyli poza Matką-Ziemią, w innych terenach Kosmosu, człowiek – taki jaki jest właśnie, lecz gdzie indziej przeniesiony – zostałby zmuszony do posługiwania się aparatem poznawczym nadal dokładnie takim, jaki aktualnie posiada, lecz z koniecznością dokonywania bezustannej transformacji danych według kategorii jemu dostępnych (bo tak przecież dotychczas ukształtowanych).

Realista ziemski stałby się więc *nolens volens* idealistą pozaziemskim. Wszystko, co obce, należące do innych, nieoswojonych światów, ów epistemologiczny idealista „ewolucyjny” musiałby odbierać zawsze po swojemu. „Po swojemu” – to znaczy „po ludzku”, a więc zarówno na płaszczyźnie zmysłów ukonstytuowanych przez miliony lat na naszej planecie (umieszczonej w pobliżu pewnej gwiazdy, zwanej Słońcem), jak i w obrębie po kantowsku pojętych kategorii logicznych oraz wszelkich pozostałych idei regulatywnych, nadających zmysłowym danym odpowiednią interpretację ontologiczną. W obrębie naszej, oficjalnej geologii taka właśnie ontologia stanowi wspólną zdobycz gatunkową. Widzimy tak samo, toteż widzimy to samo. Co więcej, nabieramy przekonania, że widzimy wszystko, co w ogóle postrzegać można.

Kiedy wyruszymy na rzeczywisty podbój Wszechświata, staniemy zapewne przed najzupełniej poważnym problemem epistemicznej adaptacji do nowych warunków, najprawdopodobniej niepodobnych do tego, co ród ludzki przeżywał na Ziemi. Czy sobie poradzimy bez automatycznej transcendentalnej translacji? Nie wiadomo. Podczas dowolnej podróży w warunkach ziemskich powtarzamy jednak nie tylko sam schemat drogi, lecz przede wszystkim podobny zestaw konkretnych danych zmysłowych. Widząc, słysząc, dotykając i wdychając wciąż te same co zawsze składniki empirii, potem zaś przekazując innym podobnymi słowy mniej więcej te same treści naszych doznań, budujemy jeden wspólny, zda się, ponadhistoryczny i ponadregionalny świat zjawisk. Obstawiamy przy tym mocno za ogólnogatunkową tezę o identyczności bytu dla nas.

Wyruszając z ciepłych portów ku lodowcom Arktyki, nie możemy się spodziewać jakiejś radykalnej zmiany naszej aparatury poznawczej, podniesienia progu wrażliwości na nowe bodźce ani też zasadniczego przeobrażenia się w jakiegoś specjalnego człowieka niskich temperatur i białosrebrnego krajobrazu. Ludzie Północy mogą poznawać dogłębnie klimaty tropikalne. Wieśniacy mają szansę w pełni rozpoznać zgiełk skupisk wielkomiejskich. Górale potrafią odnaleźć wszystkie detale na nizinnych stepach. Ludzie morza umieją stąpać po twardym podłożu i na odwrót, najzgrabniej pływają osobnicy, których zmysłowość poza wszystkim ma prawo równie doskonale czuć się w słonecznym żarze pustyni, jak i w chłodzie jaskiń. Nie musimy zatem przechodzić żadnej metamorfozy gatunkowej ani tym bardziej czekać na jakiś szczęśliwy obrót pośpiesznej ewolucji adaptacyjnej. Ewolucja już dawno dokonała swego dzieła, przystosowując cały gatunek i wszystkich ludzi z osobna do życia na Ziemi jako takiej, a więc we wszystkich jej częściach i zakątkach. Pod tym względem patrząc, każdy z nas jest wszędzie u siebie, czyli może przeżywać tak samo i to samo, co każdy inny człowiek znajdujący się na tym samym poziomie percepcji i docierający do tych samych faktów empirycznych.

Nasza baza danych jest więc wspólna. Różny wydaje się jedynie dostęp do poszczególnych jej części. Ruchliwość poznawcza polega zatem na poddaniu weryfikacji tej hipotezy, a najprościej jest ją sprawdzić przez doświadczenie zmiany perspektywy. Okazuje się, że bliżej jednych zestawów własności są ci, których życie przebiega w dogodnych dla danego celu punktach obserwacyjnych. Oddaleni są natomiast pozostali, z ich zaś dystansu ogląd bywa utrudniony lub niemożliwy do uzyskania. Nie ma więc żadnego powodu samemu się zmieniać, nie przyniesie to bowiem nigdy żadnej korzyści. Jeżeli walory Paryża są dobrą racją do jego obejrzenia, a jest ona na razie darem danym wyłącznie samym paryżanom, to nie ma innego wyjścia, jak tylko wybrać się nad Sekwanę i wtopić się w paryskie życie. Jeśli warto obejrzeć pre-rie, stepy i pampasy, to nie ma na co dłużej zwlekać – należy po prostu zorganizować odpowiednio przybliżające doświadczenie podróźnicze i „wplnąć na suchego przestwór oceanu”. Z odległości wielokilometrowej widać jedynie zarys wysokich szczytów; trzeba zatem przełamać dystans zmysłowej bariery i osobiście przybyć tam, gdzie z dawna bywają tamtejsi mieszkańcy, a naprawdę dochodzą tylko wytrawni wspinacze.

Nie zobaczymy niczego więcej ani dokładniej, ani tym bardziej zupełnie odmiennie, niż uczynili to i czynią na co dzień gospodarze danej ziemi. Należymy do tej samej rodziny ludzkiej, toteż widzimy ten sam wierzchołek, te same drzewa i te same budynki w identycznych kształtach i podobnych barwach. Trzeba się przyzwyczaić do myśli, że nie ma różnic w naoczności, powstają one dopiero w obrębie interpretacji kulturowej. Widząc i dotykając takiego samego obiektu, wyłaniamy wszelako rozmaite struktury sensu, w które jest wpisany wspólny obraz zmysłowy. Sprawdzamy zatem siebie wzajemnie nie tylko na poziomie wspólnoty gatunkowej, ale przede wszystkim na poziomie różnorodności międzykulturowej oraz specyfiki interpersonalnej.

Dla jednego jest to sarta kamieni, dla innego ruiny Troi. Zachód słońca w Alpach albo wyzwała poetyckie natchnienie, albo budzi zniecierpliwienie monotonią lub kiczem. Eskimosom lodowe kotły jawią się jako uciążliwa codzienność, romantycznym zdobywcą bieguna – zdają się urzekającą egzotyką. Ryk lwa budzi w jednych grozę, w innych nadzieję na udane safari. Odmiennie odbieramy samotne żeglowanie po wielkich wodach, inaczej zaś przemierzamy odmęty w charakterze pasażerów luksusowych liniowców. Mając odpowiednie wyposażenie kulturowe, nakładamy gęstą siatkę wiedzy na wrażeniowe daty albo też – naiwni, sterylni i prostoduszni – patrzymy na to samo, lecz nie tak samo, mianowicie w sposób przezroczysty znaczeniowo, odbierając jedynie bezpośrednią materię przedstawięń.

Widziałeś? – pytamy. Widziałem – słyszymy w odpowiedzi. I czasem jest to prawda, rzecz bowiem dotyczy wystandaryzowanej zmysłowości gatunkowej. On, ten drugi, mógł widzieć, a może nawet faktycznie widział to samo co ja albo przynajmniej coś podobnego. Na inne jednak zapytania: czy to samo zrozumiałeś, czy otrzymałeś ten sam sens, czy przeżyłeś ten sam zestaw wartości? – odpowiedzi powinny i muszą być rozmaite. Tak odmiennie, jak zdecydowanie różnimy się my – ty i ja – w naszych indywidualnych osobowościach, po pierwsze, oraz, po drugie, jak mocno i bezceremonialnie ludzka wspólnotogatunkowa – niby jednolita, bo spod jednej sztancy substancjalnej wyrosła – przekształca się w różnorodność kulturową właśnie.

Trzeba jednak pamiętać zarazem o drugiej stronie problemu. To, co stało się rezultatem trwałego związku ludzi z danym, swoiście ukształtowanym krajobrazem, stanowi przecież także specjalny zestaw atrakcji wartych szczególnych form poznania. Góry, miasta i świątynie są, oczywiście, wielce rozmaite „w sobie”. Sposoby ich przeżywania w okolicznych społecznościach także są jednak swoiste, odmienne i specyficzne. Oznacza to, że w konsekwencji warte są osobnych przeżyć wytwarzanych w obrębie różnych perspektyw – z daleka i z bliska. Odwiedzamy nie tylko zbiory rzeczy, ale także samych ludzi, z ich zachowaniami, obyczajami, językami, poglądami, stylami życia. Z wyjątkiem nagich kawałków nieskażonej cywilizacyjnie przyrody „czystej” (zdarzają się wciąż i takie), przecież dotykamy głównie obiektów intencjonalnie przetworzonych, stanowiących ewidentny wyraz pomysłów i zamiarów ludzkich. Ta droga przez bezdroża, ten port nad groźnym oceanem, to schronisko nad przepaścią, te łodzie, narty, ubrania, buty, samochody, samoloty, telefony i konserwy z tuńczykiem w sosie własnym – to wszystko jest wszak produktem kulturowej obróbki świata.

Widzimy podobnie, lecz rozumujemy specyficznie, każdy po swojemu. Zróznicowanie to powstaje zapewne z jakichś konkretnych powodów, ale, być może, także dla określonego celu, po to mianowicie, abyśmy mogli, paradoksalnie, znów rozsnuwać przed oczami krytycznego rozumu kolejne analogie, zwłaszcza dotyczące rzeczy zmysłowo danych, lecz wynikłych z odmiennych metod pracy nad przedmiotami. Kiedyś, być może, widzieliśmy takie same kamienie i drzewa, tak samo smakowaliśmy krople rosy i z identycznym poczuciem miękkości dotykaliśmy stopą mchu, a dłonią sierści zwierzęcia. Rozstaliśmy się jednak w trakcie rozbudowy światopoglądów, rozeszliśmy się zaś ostatecznie wówczas, kiedy to jedni z nas nadal wznosili modły do totemów i demonów, a drudzy zaczęli uprawiać nauki i tworzyć wyższe technologie.

Chętnie powracamy do świątyń, ikon i świętych figur – widząc je tak samo wraz z tysiącami i milionami przybyszów-turystów. Odwiedzamy starówki, skanseny i muzea archeologiczne. Także samochód, helikopter, laptop i telefon osobisty jawią się nam w identycznej naoczności, z tym że w sferze „pomiędzy” – pomiędzy podmiotem a przedmiotem – rzeczywiście coś się zdarzyło niezwykłego a gruntownie odmiennego. Co mianowicie? Postrzegamy wszyscy tak samo, ale wcale nie to samo. Dzieje się to w każdym miejscu, w każdym czasie, w wydaniu członków tej samej ludzkiej rodziny, na tym samym globie. Dzieli nas nie identyczne światy, które sami sobie zbudowaliśmy, jakby dla pełniejszej dezorientacji. Na razie nie prowadzi to jeszcze do ewolucyjnie jednoznacznych konsekwencji, lecz i na to przyjdzie pewnie pora.

W imię człowieka

Wspólnota gatunkowa polega nie tylko na tym, że wszyscy poszczególni ludzie mają podobne właściwości przynależne do istoty człowieczeństwa. Gwarantem takiego

związku byłby wtedy ktoś z zewnątrz, jakiś absolutny podmiot albo łącząca ogół idea. Wspólnota ta pojawia się naprawdę wówczas, kiedy jej nośnikiem staje się ludzka świadomość – albo pojedyncza (kogoś, kto pierwszy uznał istnienie gatunku ludzkiego), albo zbiorowa, samowzmacniająca się w międzypodmiotowych przekonaniach i tworząca ostatecznie gatunkową kulturę. W jej obrębie powstaje poczucie „my ludzie”, „my ludzkość”.

Odkrycie przynależności do gatunku wyzwala w nas wiele nowych nastawień do rzeczywistości, tej samej niby, lecz przedtem obojętnej albo ocenianej z innego, zwykle zewnętrznego punktu widzenia. W ramach światopoglądu wspólnoty gatunkowej dokonujemy przede wszystkim dwóch operacji: przejmujemy – przez siebie samych, dzięki sobie i w swoim imieniu – czas historyczny, po pierwsze, oraz przestrzeń całej Ziemi, po drugie. Oznacza to, że za własną uznajemy przeszłość wszystkich ludzi i ludów, ich przeżycia, dokonania i klęski. Oznacza to także, że utożsamiamy się z dowolnym i każdym kawałkiem globu jako miejscem uczłowieczonym przez człowieka jako takiego. Stając się ludzkim w ogóle, narzuca nam się jako nasz osobiście przejęty, nam przynależny i należny, oczekujący na aprobatę, intencjonalny akt zawłaszczenia. Potem już tylko pozostaje objęcie zawłaszczonego suwerennym aktem odpowiedzialności.

Jest wysoce prawdopodobne, że odkrycie gatunkowości wyzwoliło w ludziach potrzebę specjalnych zachowań, poświadczających nabycie tej właśnie świadomości. Być może nakazało nawet poddanie się presji powinności moralnej, której normy czerpią swą żywotność z gatunkowego źródła. Jakże bowiem mamy zaświadczyć, że należymy do tego samego gatunku, jeśli nie poprzez objęcie naszym umysłem całych dziejów ludzkich jako własnych? Jak wyrazić gotowość i rozpoznać uzyskanie gatunkowego patentu właśnie? Okazuje się, że jest tylko jeden sposób i jedna droga sprawdzenia gatunkowej jedności i tożsamości: właśnie przez doświadczenie osobistego objęcia pieczę reliktów zróżnicowanej historii i zapanowania nad terenami, które należą do człowieka niewątpliwie (człowieka „w ogóle”), choć przecież – jak sądzono dotąd – nie są własnością wyłącznie określonych tubylców (i nikogo więcej), ale i każdego, kto zechce powtórzyć odpowiedni, partycypacyjny dowód prawdy.

Nie wiemy, czy gatunek ludzki wyłonił się z jednego korzenia genetycznego (z jakichś mitycznych prarodzciców w Raju), czy też ma wiele źródeł i, płynąc różnymi strumieniami, dopiero w trakcie dziejów połączył się w jedną, ogromną rzekę ogólnoludzkiego bytowania. Istotny jest problem realnej struktury ludzkości jako czasoprzestrzennie uformowanej mnogości osobników i grup oraz całokształtu dziejów ich lokalizacyjnych zmian. Człowiek – jako gatunek i jako zbiorowość globalna – rozpieczętował się na pewno po całej planecie ziemskiej, mniejszymi lub większymi społecznościami zdobywając i zajmując różne tereny, czyniąc je własnymi miejscami do życia i budując wydzielone dla każdego zbioru z osobna swoiste przedmioty wyższego rzędu, a więc politycznie, gospodarczo i kulturowo specyficzne systemy społeczne (plemiona, państwa, narody). Walka o miejsce własne to z jednej strony działania wojenne wymierzone w rywali, zwykle sąsiadujących nieopodal przedstawicieli tego samego gatunku. Z drugiej – to ochrona przed innymi gatunkami, a zarazem praca nad kształtem przydzielonego – czyli wywalczonego i obronionego – kawałka świata.

Kwestia dynamiki i kierunków przemieszczeń w ramach pierwotnego podziału świata musiała więc być rozwiązywana poprzez akty aneksji danego terytorium, jego suwerenizację, a następnie obronę przed zagrożeniem zewnętrznym i wewnętrznym. Jeśli przybyszami byliśmy my, to nadawaliśmy sobie zaszczytne miano „szlachetnych zdobywców”, uprawnionych przez naszą etyczną dzielność i militarne zwycięstwo lub samą groźbę użycia przemocy do przejęcia danego wycinka Ziemi w wieczyste użytkowanie. Rzecz jasna, agresor zupełnie nie musiał się liczyć ani z potrzebami tubylców (jeśli ich zastawał), ani pozostałych części zajętej przyrody (roślin i zwierząt).

Czasem towarzyszył jego świadomości stan, który można uznać za graniczny, przesądzający mianowicie o półludzkim lub nieludzkim traktowaniu podbijanych ludów, zwłaszcza fizycznie niepodobnych do najeźdźców bądź dalece odstających od cywilizacyjnie wyższych, czyli „naszych” wzorców obyczajowych. Przybysz nie był więc w żadnym wypadku wędrującym przyjacielem, ale z natury rzeczy śmiertelnym wrogiem, przed którym należało się bronić do upadłego lub uciekać. Cofanie się, ukrycie, przenosiny, wychodźstwo i inne formy eskapizmu uruchamiały – według reguły domina – długie ciągi determinacji inwazyjnych. Każdy wyparty ze swojej ziemi musiał w konsekwencji nacierać na tereny należące wcześniej do innych ludzi.

Wtórne i kolejne podziały globu burzyły dotychczasowe porządki, albo wprowadzając nieznaczne korekty, albo tworząc od podstaw zupełnie nowe konstrukcje w miejsce rozbitych wcześniej. Historia ludzkości okazała się zatem nieustannym ciągiem takich właśnie przeobrażeń, stopniowo ustalających – przynajmniej na pewien czas – parcelacyjną strukturę ludzkiego świata, ponadto z jednoznacznym przydziałem miejsc. Pozwalało to na rozróżnienie własnościowych rozstrzygnięć, wytyczanie granic, a później na malowanie różnokolorowych map. Miało z nich wynikać definitywne rozstrzygnięcie, kto jest i dlaczego jedynie on może być gospodarzem danej ziemi, kto zaś musi się zadowolić ewentualną rolą gościa. Kto ma wieczyste prawo zasiedzenia, kto zaś musi być traktowany jak uzurpator.

Specjalne, wyróżnione miejsce w obrębie tego układu rywalizacji zajmuje, oczywiście, zawsze człowiek miejscowy. Jest on kamieniem węgielnym i kamieniem milowym tuziemstwa w jednej osobie. Rozporządza danym terenem jak sobą samym, z wszelkimi uprawnieniami, nadanymi mu przez Los, Boga i Historię. Jest niekwestionowanym panem i władcą wszystkiego, co jest uświęcone byciem tu oto – od dawna, a nawet jeszcze dłużej. To zaś, co znajduje się tutaj i wokół, należy do niego z tej najprostszej racji enumeracyjnej, że przecież on to zajął wcześniej przed innymi. Dlatego więc stało się to jego własnością, bo zdecydowała o jego prymacie zawłaszczająca obecność w odpowiednim czasie (obecni mają więc ową poszukiwaną rację dzięki faktowi obecności właśnie). Do obecnych należą też: zbiór rzeczy na tej własnej ziemi pomieszczonych, ogół urządzeń i bogactw naturalnych, a także zasobów ludzkich, wraz ze strukturą społeczną oraz kulturą, wraz z jej materialnymi nośnikami. Jest więc tak, i tak być musi, że właściciel, gospodarz, tuziemiec rozporządza całą bez wyjątku lokalną czasoprzestrzenią – zarówno realną, jak i intencjonalną.

Dysponując owym „naturalnym” prawem do własności, można wysunąć natychmiast dwie inne zasady pochodne. Chodzi, po pierwsze, o prawo do wyznaczania za-

kresu współżywalności dóbr własnych, znane albo jako prawo otwartej gościnności, albo przeciwnie – egoistycznej i ksenofobicznej, zamkniętej niegościnności. Po drugie, chodzi o święte prawo do obrony własności przed gośćmi niepożądanymi.

Tam, gdzie rozum kroczy przed siłą, dochodzi niekiedy do spontanicznego ukonstytuowania się kultury przyjaznych przemieszczeń. Tam, gdzie toruje sobie drogę siła przed rozumem, możliwe są tylko wizyty zbrojne, na ogół kończące się tragicznie dla słabszych, wypieranych z zajmowanych pozycji lub likwidowanych całkowicie i bez śladu. Tak rodziło się i umacniało przedziwne pragnienie człowieka, aby być wszędzie, nawet tam, a może zwłaszcza tam, gdzie nas dotąd nie było (bo byli tam inni).

Być sobą w wędrówce²

Nic tak człowieka nie zmienia, jak rzeczywisty proces życia. Uczestnicząc w potokach i rzekach przemian świata, chcemy i musimy sprostać jego wyzwaniom, wciąż innym, wciąż odnawianym, wciąż powtarzającym litanię doznań już przeżytych, lecz ulotnych albo szykujących nam kolejne niespodzianki, o nieznanym składzie i kształcie. Jeśli poprzestalibyśmy na tym, co stałe, trwałe, stabilne, nieelastyczne, spetryfikowane, niepodatne na przeobrażenia, to musielibyśmy sami stać się nieruchomi niczym kamienne posagi i z góry zrezygnować z bardziej aktywnej, kreatywnej partycypacji w bycie.

Czynne uczestnictwo jest zaś możliwe tylko w dwóch przypadkach. Po pierwsze, wtedy, kiedy nasze wyjściowe wyposażenie znamionuje absolutne bogactwo właściwości przyrodzonych, tak że z zasobów genetycznie własnych potrafimy czerpać do woli, nie sięgając po posiłki zewnętrzne. Do woli – choć zapewne czynimy wszystko w ramach rozsądku praktycznego, w sposób racjonalny i odpowiedzialny rozwiązując samodzielnie każdą sytuację z osobna. Po drugie, czynne uczestnictwo spełnia się wówczas, kiedy dla danego wyzwania przygotowujemy specjalny repertuar, zmieniając siebie w zależności od potrzeb.

Choć pragnęlibyśmy zapewne sprostać ambicjom samotniczej podmiotowości heroizmu absolutnego, wyrażonego w ramach pierwszej możliwości, trzeba raczej przystać na program mniej romantyczny zapewne, lecz za to po prostu realistyczny. Skoro nie da się podporządkować świata mojej stałej naturze, warto okazać nieco elastyczności, siebie dostosowując do warunków, na których powstanie i działanie nie mamy jednak wpływu. Odrzucamy przy okazji trzecie wyjście, znane jako receptę stoicką, mianowicie zamknięcie się na świat, łącznie z nieprzyjęciem do wiadomości jego istnienia i wszelkich, potencjalnych wyzwań. Koncepcja stoicka – za cenę ochrony przed pokusą adaptacji – zaleca zatem bezpieczne pozostanie w domu, najlepiej za

² Oczywiście aluzja do tytułu i treści książki Beaty Szymańskiej-Aleksandrowicz *Co to znaczy być sobą*.

szczelnie zamkniętymi drzwiami, bez widoku z okien oraz bez odgłosów i zapachów dochodzących z zewnątrz, rzekomo zagrażającej nam rzeczywistości.

Decydujemy się więc wkroczyć w proces zmieniających się stanów, a nie mając innej szansy, musimy sprostac próbie tożsamości. Przebiega ona zawsze według jednego, sprawdzonego kanonu antropologicznego. Otóż dostosowujemy się w miarę sprawnie i skutecznie do otoczenia, nie tracąc wszakże niczego z własnej istoty. Przeciwnie, przez doświadczenie przeżytej różnicy umacniamy przewidywane, każdorazowo uzasadniane, dobre samopoczucie własnej identyczności podmiotowej. Gdziekolwiek się udajemy, czymkolwiek i z kimkolwiek, oraz na jakkolwiek długą i trudną wędrówkę, to będziemy tam zawsze i wszędzie tymi samymi, którzy kiedyś stąd wyruszyli. W dniu i w chwili powrotu, jak też potem, okazemy się tymi samymi, którzy byli sobą w każdym momencie i punkcie drogi. Wiele mogło i może się nadal zmienić w moim życiu, ale jeśli przeżyję podróż w znaczeniu metafizycznie podstawowym – będę nadal i wciąż tym samym człowiekiem. Byłem, jestem i będę sobą mimo przesuwających się krajobrazów, ludzi, rzeczy, doznawanych kolejnych niebezpieczeństw i coraz to świeższych przyjemności.

Pojawiające się podejrzenie, że dopiero specjalne, zwłaszcza ekstremalne warunki ujawniają prawdziwą twarz człowieka, można interpretować na dwa sposoby. Jeden – to odwołanie się do kultury jako źródła wtórnej powściągliwości osobniczej – wbrew jego naturze. Codziennosc bytowania wśród ludzi przynosi opresję norm i obyczajów, którym usiłujemy sprostać, nawet za cenę gwałtu na własnych, podmiotowo pierwotnych pragnieniach, pożądaniach i przymyśleniach. Dopiero akt realnego, odważnego wyrwania się z jarzma kulturowego zniewolenia wyzwala indywidualną samodzielność i daje gwarancje jeśli nie pełnej, to rozszerzonej swobody. Jest to zaś możliwe tylko w przypadku opuszczenia sceny, na której zmusza się nas do poprawnego odgrywania roli. Aby być sobą, przynajmniej od czasu do czasu, należy więc dokonać radykalnego wyjścia poza teatr ułudy i obłudy codzienności. Jesteśmy lub bywamy sobą dopiero poza stałym siedliskiem i poza ekipą wciąż tej samej obsady inscenizacji sztucznego bytowania. Przebieramy się więc w strój podróżny, zarzucamy na ramiona wędrowniczą torbę. Wyposażeni odpowiednio do ujawnionej nareszcie istoty – ruszamy w drogę.

Drugie ujęcie odwołuje się do koncepcji poszukiwania i odkrywania bogactwa ludzkich możliwości. Codzienne, stateczne życie powtarzalnych sensów i gestów pozwala na ujawnienie i wykorzystanie tylko niektórych właściwości. Pozostałe zdają się tkwić w podmiotowym uśpieniu, zepchnięte do jakiejś czystej potencjalności, jakby nigdy i nikomu aktualnie niepotrzebnej. Zamrożenie możliwości dotyczy zarówno świata, jak i samego posiadacza określonych dyspozycji i cnót. Wędrówka staje się w tej sytuacji zabiegiem przede wszystkim wyzwoleniczym, stając się nie tyle okresową kreacją tożsamości prowizorycznej (niezbędnej na czas i specyfikę danej wędrówki), ile odsłonięciem – nareszcie – istniejących już wcześniej w podmiocie właściwości. Nadanie im nowego impulsu polega zatem na wykorzystaniu ich w szczególnych okolicznościach, jakby specjalnie do tego celu powołanych. Nie stajemy się zatem nikim nowym – ani lepszym, ani gorszym – w stosunku do wcześniejszych, względnie trwałych przymiotów i wad, lecz dzięki owym nowym warunkom możemy okazać to, czym jesteśmy w całej pełni swej istoty. Odwagę, kon-

sekwencję, dokładność, odporność, twardość, braterstwo, otwartość, wnikliwość, wszechstronność i poczucie umiaru – i wszystkie pozostałe cechy naszych tożsamości – możemy odsłonić i wykorzystać właśnie w dostosowanych do nich realiach.

Być może nigdy nie dowiedzielibyśmy się tego o sobie przez długie lata życia, czego doświadczamy w tych szczególnych, relatywnie krótkich, „nienormalnych” wydarzeniach wędrowniczych. Być może po to w ogóle chcemy wybrać się w podróż. Odwiedziny różnorodnych, zwykle nieznanych miejsc i przestrzeni zdarzają się niejako przy okazji. Celem fundamentalnym jest wszakże sprawdzenie samych siebie przez dotarcie do wnętrza samych siebie, jak najgłębiej się da, właśnie w odpowiednio dobranych doświadczeniach. Wtedy można siebie przeżyć takim, jakim się jest naprawdę.

